DOM POLSKI

PISMO BELETRYSTYCZNE I NAUKOWE

wychodzi w Poznaniu 1, 10 i 20 każdego miesiąca.

Rok II. Poznań, 1 września 1889 r. Nr. 25.

Prenumerata roczna wynosi 8 m., półroczna 4 m., ćwierćroczna 2 m. tak dla miejscowych, jak zamiejscowych przedpłacicieli krajowych; dla Galicyi 5 złr. rocznie, 1 złr. 25 cent. ćwierćrocznie z przesłaniem exemplarza na miejsce. — Miejscowi przedpłaciciele, odbierający „Dom polski" w redakcyi, płacą tylko 1,50 mrk. — Zapisywać można na wszystkich pocztach krajowych, a w Poznaniu w redakcyi, ulica Wiedeńska, nr. 5, II. piętro. — Przedpłatę ćwierćroczną przyjmuje każda poczta; półroczną, lub roczną tylko redakcya. — Inseraty przyjmują się za opłatą 20 fen. od wiersza jednolamowego. — Pojedyńczy numer „Domu pol." kosztuje 40 f. Drukowanych rękopisów nie zwraca redakcya.

O WYCHOWANIU.

(Ciąg dalszy.)

Nader szkodliwą rzeczą jest chwalić dziecko w jego obecności — zwłaszcza też z urody. Matki niechaj tego przestrzegają jak najtroskliwiej — i, jeżeli kto tę nierozwagę popełni, powinny zaraz powiedzieć: że to żart tylko, łaska, grzeczność. Z początku posłucha dziecko tego *komplimentu* obojętnie, później chętnie go posłyszy, a jeszcze później zapragnie usłyszeć; obudzi się w niem próżność, zacznie spoglądać w zwierciadło i bawić się twarzyczką swoją; będzie się muskało, wdzięczyło i mizdrzyło, rzuci się do strojów — buzia jego i figurka wyłączne zrodzą w niem zajęcie.

Złe największe, gdy matka — przez własną próżność — powtarza przy dziecku, że je z piękności chwalono, gdy wynosi się z tego i pieści dziecko za te czcze pochwały. Taka matka dziecka swojego nie kocha prawdziwie — raczej kocha się w niem tylko, to jest: samę siebie — bo jej pochlebia, że ładne ma dziecię. Z chłopca w taki sposób chowanego wyrośnie lalka nieznośna i śmieszna, lala bezużyteczna dla społeczeństwa, jeżeli sam — za łaską Bożą — nie opamięta się z czasem i nie skoczy po rozum do głowy — zrzuciwszy z niej papiloty. — Z dziewczynki wyrośnie laleczka, bez serca, bez myśli. Zwierciadło i stroje będą dla niej wszystkiem; zapragnie ciągle nowych hołdów i starać się o nie będzie kokieteryą. Stanie się zalotną, chciwą uwielbień — i zasłuży w końcu na miano... przewrotnej kobiety: podepce obowiązki najświętsze — będzie złą żoną i matką najgorszą...

Szanowny Rej z Nagłowic powiedział: „Panie matki około dzieweczek swoich powinny pilność mieć, bo to jest naród mdły, a na wszytko snadnie ułomny."

Pamiętajmy, że: małe złego bywają początki!

Dziewczynki nader łatwo przejmują zamiłowanie do strojów, i powiedzmy — łagodząc zarzut — że to pochodzi może z poczucia piękna, wrodzonego kobietom; kwiaty, barwy, zwierciadła zajmują już dziecię; gdy mu je pokażesz, wyciąga ku nim rączki, śmieje się i klaszcze.

Jeżeli więc matka już na młodziutką dziewczynkę zacznie wkładać stroje, to dziecię do nich nawyknąć musi, i coraz nowych i ładniejszych zażąda — z czego wyrodzi się próżność niepohamowana i pociąg do zbytków. Zrodzi się także i uczucie zazdrości, gdy u rówienniczek barwniejszą zobaczy sukienkę, wstążeczkę, lub inny jaki płatek. — Widzimy nieraz maleńkie dziewczynki w sukienkach jedwabnych strojnych haftami i koronkami; w kapelusikach z piórami: dziewczątko tak przystrojone, zkarykaturowane — możnaby nieomal powiedzieć — pawi się w tych bławatach i staje się istną bańką mydlaną, barwną na zewnątrz, a wewnątrz próżną.

Panienka powinna dbać o ubranie swoje — ale niechaj je głównie na świeżości i zręcznym kroju sukienki zasadza. Smak dobry zaleca kobietę — i to właśnie poczuciem piękna zowiemy. Lecz smak dobry może się i w płócienku objawić, nie potrzebuje atłasów; mianowicie też widzimy go w doborze kolorów, w zręcznem upięciu wstążeczki itd.

Główka powinna być uczesana gładziutko, sukienka niechaj będzie z perkaliku, z muślinu, lub wełniana; kołnierzyk białości wzorowej; bóciki czarne i zgrabne. — Czyliż każda dziewczynka w ten sposób ubrana nie wyda się lepiej, ładniej i wdzięczniej?

Widzieliśmy w towarzystwie dwie młode panienki: obiedwie po raz pierwszy w liczniejszem występujące zebraniu. Jedna ustroiła się w suknię materyalną niebieską, ubieraną aksamitem i koronką; szyję, ręce i uszy obciążyła kosztownemi biżuteryami, we włosy wpięła ponsowe róże.

Druga panienka włożyła sukienkę muślinową lila, bez dodatków niepotrzebnych i ozdób, a w skromnie ułożone włosy wpięła wianek ze świeżych fiołków. — Ta druga ogólny uzyskała poklask, i podobno, że to pierwsze skromne wystąpienie na jej całą wpłynie przyszłość.

Z chłopczyków robią także niekiedy cudaków, dziwotworne na nich wkładając kostyumy. Alboż nie zabawnie wygląda chłopczyk z głową ufryzowaną? — Gdy dzieciak zacznie na zewnątrz głowę fryzować, to niekiedy ją ufryzuje i wewnątrz. Dzieci tak postrojone — dziewczęta i chłopcy — to niby kandydaci do teatru maryonetek. — O! lepiej to stokroć było, gdy:

Chłopak, podpasany łyczkiem i rzemyczkiem,
Rosł na barszczu czeladnym, na kluskach i kaszy,
A uganiał na oślep po gromadzkiej paszy!

(Ciąg dalszy nastąpi.)

HISTORYA JAKICH WIELE.

Przez F. F.

Z języka niemieckiego tłomaczyła

ANNA PILASKA.

Doktor Paulson siedział w swoim pokoju przy biórku, zarzuconem broszurami, traktującemi o medycynie i książkami podobnej zapewne treści. Tablica, umieszczona na drzwiach wchodowych, oznajmująca wszystkim przychodniom zawód Henryka Paulsona, była — przynajmniej na ten raz — zupełnie zbyteczną, gdyż każdy wchodzący do pokoju mógł natychmiast odgadnąć, kto go zamieszkuje. Fizyczne i optyczne aparata, stojące na pułkach, wzdłuż ścian się ciągnących, baterya elektryczna i chirurgiczne narzędzia, leżące na stole, ułatwiały to zadanie. Pomimo to pokoj robił na wchodzącym miłe, a nawet eleganckie wrażenie dzięki kosztownym, orzechowym meblom i wzorzystemu dywanowi, zaścielającemu posadzkę.

Siedzący przy biórku był może trzydziestoletnim mężczyzną, o wysokiej, smukłej postawie z ciemnoblond włosami i niebieskiemi oczyma tak pełnemi wyrazu i inteligencyi, że bez zaprzeczenia główną ozdobę jego osoby stanowiły.

Henryk Paulson, skończywszy uniwersytet, zaledwie od lat kilku praktykę lekarską prowadził, lecz dzięki swym zdolnościom, a może i szczęściu liczną już, z każdym niemal rokiem się zwiększającą klientelę posiadał. Nikt jednakże nie zazdrościł młodemu lekarzowi tego powodzenia; szczery i otwarty charakter jednał mu przyjacioł, którym nietylko radą, ale i materyalnie chętnie w razie potrzeby przychodził z pomocą.

Treść czytanej właśnie książki musiała głęboko zająć Paulsona, jeżeli dosyć głośne pukanie do drzwi uszło jego uwagi. W tej samej chwili odsłonięto portyerę i do pokoju wszedł młody jeszcze mężczyzna w kapeluszu na głowie. Pomimo eleganckiego ubrania wyglądał dosyć niedbale; czarne, wijące się włosy spadały mu na czoło — duże, ciemne oczy pałały w tej chwili demonicznym prawie blaskiem.

Lekarz odwrócił się z żywością, a poznając we wchodzącym przyjaciela, uścisnął mu dłoń serdecznie.

— Rad jestem, że cię zastałem — odezwał się nowoprzybyły, Stefan Roberts.

— Wiesz przecież, że tę godzinę zazwyczaj moim przyjaciołom i czytaniu poświęcam.

— Prawda, przypominam to sobie teraz, ale winienem przyznać, że nie myślałem o tem, idąc do ciebie. Zresztą mogli cię odwołać do chorego. Jedna z arystokratycznych twoich pacyentek dostała właśnie migreny, lub coś podobnego... a ty jesteś przecież w modzie! Kogoś ty nie leczył, ten nie czuje się zdrowym, a chory, do którego nie zawezwano ciebie, o swem wyleczeniu zwątpił.

— Mam dosyć szczęścia — odparł Paulson z uśmiechem. — Lecz ty zazdrościsz mi go może?

— Nie, Henryku, nie zazdroszczę ci bynajmniej tego powodzenia, tylko — mojem zdaniem — źle je pojmujesz i za mało starasz się zeń wyciągnąć korzyści.

— Nie rozumiem cię — zawołał młody lekarz zdziwiony.

— A więc chcesz, abym cię objaśnił? Słuchaj zatem: ludzie mają cię za uczonego, a ja w imie naszej przyjaźni nigdy nie powątpiewałem o tem, chociaż nie pojmuję, jakim sposobem najlekkomyślniejszy ze studentów uniwersytetu uczonym mógł zostać. Nie o tem przecież chciałem mówić; mam żal do ciebie za to, że twój zawód lekarski tak fałszywie pojmujesz. Każdemu stworzeniu, noszącemu nazwę człowieka, słusznie, lub niesłusznie starasz się z równą sumiennością wrócić nadwerężone zdrowie; tym sposobem sława i wziętość twoja wzrastają z dniem każdym, lecz jakąż ty krzywdę wyrządzasz ludzkości! Gdybym ja na twojem miejscu się znajdował, wtenczas kazałbym na tablicy wielkiemi literami następujące wydrukować słowa: „Doktor Henryk Paulson, tylko prawdziwych ludzi leczący.“

Byłoby to co najmniej oryginalnem — zauważył Paulson spokojnie. — Więc miałbym tym, którzy podług ciebie na miano ludzi nie zasługują, odmówić swej pomocy?

— Tak jest — zawołał gwałtownie. — Kto, jak ty, jest ogrodnikiem tego ogromnego ludzkiego ogrodu, powinien przede wszystkiem wykorzenić zeń chwasty i zielska, zatruwające powietrze. Podobnie szkodliwe rośliny wyszukują sobie zazwyczaj najlepsze i najsłoneczniejsze miejsca, przygniatają bezwzględnie najładniejsze i najwonniejsze kwiaty, ażeby ich kosztem wzrosnąć i rozwinąć się swobodnie, a wreszcie istnieniem swojem niszczą to trochę przyjemności, jaką uczuwa każdy rozsądny człowiek, żyjąc na świecie. Wprawdzie prawo i sumienie twoje nie pozwalają ci zabijać ich bezpośrednio, ale któż ci zabroni zwiększoną dawką morfiny do wiecznego snu ich ułożyć? Wierzaj mi, Henryku, trzecia część ludzkości zaledwie, kiedy śpi, jest znośną, a śmierć każdej z podobnych jednostek za prawdziwą można jej poczytać zasługę!

Doktor Paulson spoważniał nagle i wzrok jego zatrzymał się z prawdziwem współczuciem na wyrazistej twarzy przyjaciela, z którego słów takie zniechęcenie, taka bezmierna przebijała gorycz.

— Stefanie, co ci się stało? — zapytał po chwili milczenia.

Roberts spuścił oczy, jak gdyby ich wyraz pragnął ukryć przed badawczym wzrokiem lekarza.

— Co cię spowodowało pytać mnie o to? — szepnął stłumionym głosem. — Ach! prawda — dodał, uśmiechając się boleśnie — jesteś doktorem, więc sądzisz na równi z innymi lekarzami, że potraficie głębiej od zwyczajnych śmiertelników spojrzeć do wnętrza człowieka, a jednak gdy kogoś najpiękniejsze marzenia i nadzieje zawiodą, to wtenczas na uderzenie krwi do głowy go leczycie! Nie zaprzeczaj mi, przyjacielu, i raczej przyznaj słuszność mym poglądom.

— Czy mam ci powiedzieć przyczynę twego wzruszenia i goryczy? — zapytał Paulson z powagą. — Rozdrażnienie umysłowe jest tego powodem, więc bądź rozsądnym, Stefanie, i wytłomacz mi, co cię do tego stanu przywiodło.

Roberts milczał, usiłując napróżno odzyskać spokój i przybrać obojętny wyraz twarzy.

— Wzrok twój jest bystrzejszy i przenikliwszy, niż sądziłem — szepnął po chwili. — Czy znasz tajnego radzcę Holsteina? — dodał, odbiegając nagle od poprzedniego tematu rozmowy.

— Ktożby go nie znał w tem mieście, chociaż, prawdę powiedziawszy, za żaden zaszczyt znajomości tej sobie nie poczytuję, człowiek ten nie wzbudza we mnie ani zaufania, ani sympatyi.

— A przecież są tacy, którzy towarzystwa jego bardzo poszukują — odparł Roberts z gorzkim uśmiechem. — On sam uważa się za najwybitniejszą osobistość z całego miasta dla tego, że za pomocą pochlebstwa i nędznej uniżoności sprawuje urząd, do którego najmniejszych nie posiada zdolności.

— Coż ci zrobił takiego?

— Mnie? Ha! ha! nic to nie znacząca drobnostka, pomówimy o niej potem. Henryku, przypominasz sobie może

jeszcze twój pojedynek z czasów akademickich?... byłem twoim sekundantem.

— Pamiętam, ale dla czego wspominasz o tem właśnie teraz?

— Przypominasz sobie może i tę okoliczność, że więcej, niż raz obowiązki twego sekundanta spełniałem i że ostatnia podobna przysługa sześć tygodni aresztu mnie kosztowała. Byłbym może zapomniał o tem, gdyby nie to, że kara właśnie podczas wakacyi przypadła. Nie wiedząc, co robić z czasem, sposobiłem się w areszcie do examinu, który skutkiem tego wypadł świetnie, ale pomimo to strasznie mi się moje więzienie dłużyło. Dzisiaj przyszedłem do ciebie z prośbą, abyś, odwzajemniając mi się za moję przyjacielską usługę, wyzwał radzcę Holsteina w mojem imieniu na pistolety.

Dźwięk głosu Robertsa brzmiał zbyt stanowczo i poważnie, aby można jakiś żart przypuścić.

— Stefanie, czy jesteś przy zdrowych zmysłach? — zawołał Paulson zdziwiony.

— Dotąd tak, chociaż nie ręczę, czy ich później nie utracę — odparł z pozornym spokojem. — Czy mogę liczyć na ciebie?

— Nie, do tego przyjść nie może; cóż zaszło między wami?

— Więc sądsisz, że mogłbym z podobnym, jak Holstein, człowiekiem żartować? Nie jestem w ogóle do żartów usposobiony i pytam cię po raz drugi, czy zechcesz w mojem imieniu wyzwać Holsteina?

— Nie, nie uczynię tego — zawołał Paulson gwałtownie.

— Nie uczynisz? — powtórzył Roberts zwolna, patrząc na przyjaciela swemi dużemi, smutnemi oczyma. — O! byłem głupcem, odsiadując za twoję sprawę sześciotygodniową karę, teraz dopiero to widzę! Postaram się znaleźć innego, który mej prośbie może nie odmówi, więc pozwolisz, że odejdę natychmiast.

I skinąwszy Paulsonowi głową na pożegnanie, zwrócił się ku wyjściu.

— Zostań — zawołał lekarz, ujmując rozpaloną dłoń przyjaciela. — Czy myślisz, że z obawy niewplątania się w nieprzyjemną historyą twemu życzeniu odmawiam? A jednak znasz mnie dość dawno, aby wiedzieć, że zapominam o sobie, jeżeli o spełnienie przyjacielskiej usługi chodzi. Moja odmowa ma tylko własne twoje dobro na celu.

— Nie jestem dzieckiem i wiem, co robię — odparł Roberts ponuro.

— Czy przypuszczasz, że Holstein przyjmie wyzwanie?

— Być może, że odmówi, upoważniając mnie tem samem do nazwania go tchórzem gdziekolwiek się z nim spotkam.

— Tak, do tego niezaprzeczone będziesz miał prawo. Nazwa tchórza byłaby dlań nietylko właściwą, ale i prawdziwą, gdyż on jest nim w rzeczy samej, lecz cożby ci przyszło z tego? Ogół podzielałby to zdanie, ale w duchu; otwarcie niktby nie stanął po twojej stronie, przecież on jest tajnym radzcą, ulubieńcem dworu, posiada wpływy i to znaczne, a ty jesteś początkującym prawnikiem zaledwie.

— Za mną przemawia uczciwe nazwisko, któremu on nic zarzucić nie może.

— Masz słuszność — odparł Paulson, kładąc rękę na ramieniu przyjaciela. — Posiadasz uczciwe nazwisko i szlachetne serce, tylko oczy twoje pomimo całego zasobu wiedzy i rozumu nie patrzą trzeźwo, inaczej pojąłbyś od razu, jak nierówną chcesz stoczyć walkę. Ten nędznik przyprawi cię o zgubę, zastawi na ciebie sidła, których uniknąć nie zdołasz, a sam wyjdzie z tej sprawy cało i zwycięzko.

Roberts słuchał w milczeniu, zamyśliwszy się głęboko.

— Być może — odparł po chwili — a jednak postanowienia swego nie cofam. Nienawidzę tego człowieka z całej duszy, zaciskam bezwiednie pięści przy każdem z nim spotkaniu, muszę go ukarać, zemścić się, chociażbym sam sobie zgotował upadek.

— Czy cię obraził? — zapytał Paulson badawczo.

Skinął głową w milczeniu.

— Kiedyż się to stało? — badał z zajęciem — usiądź i opowiedz mi rzecz całą spokojnie.

— Spokojnie!... szepnął młody prawnik z gorzkim uśmiechem. — Czy ci się zdaje, że woda, nie krew płynie w mych żyłach, żeby się na samo wspomnienie tej obelgi wzburzyć nie miała. Gdybym mniej dumy, mniej ambicyi posiadał, to może opowiedziałbym ci całe to zajście spokojnie, ale przecież tak nie jest, więc musisz mi to trochę żywości darować! Przyszły mój teść wydawał wczoraj obiad, na który otrzymał zaproszenie i Holstein, bez którego, jak się zdaje, ojciec Berty obyć się nie może. Nędznik ten uważa się też za przyjaciela domu prawie, nadskakuje w uderzający sposób mej narzeczonej, a ojciec jej zdaje się wcale nie zwracać uwagi na to i we wszystkiem do rad i wskazówek Holsteina się stosuje. Milczałem, nie mogąc mu przecież robić żadnych wyrzutów w tej mierze, a dla radzcy byłem grzecznym o tyle, o ile mi konieczność nakazywała, unikając go, ile możności, i tylko Bóg wiedział, jak bardzo go nienawidziłem. Wczoraj wieczorem rozmawiałem właśnie z swoją narzeczoną i kilku jej przyjaciołkami, kiedy Holstein zbliżył się, mieszając się nieproszony do naszej rozmowy. W dalszym jej ciągu wypowiedział pewną, tyczącą się mnie, a ubliżającą mi uwagę, a kiedy go o bliższe wyjaśnienie poprosiłem, odparł, że podobnie podrzędnej, jak ja, osobistości o n, r a d z c a t a j n y, tłomaczyć się nie potrzebuje, i odwrócił się do mnie plecami.

— On to uczynił! — zawołał Paulson, zrywając się z żywością.

— Czy sądzisz, że to sobie moja bujna wyobraźnia stworzyła?

— A ty jakeś postąpił, Stefanie?

— Nie chcąc wywoływać przykrego dla gospodarzy domu i obecnych zajścia, milczałem, gdyż nie pozostałoby mi nic innego, jak policzkiem ukarać nędznika.

— Dobrześ uczynił — zawołał lekarz, ujmując dłoń przyjaciela serdecznie. — Stefanie, jestem gotów zanieść Holsteinowi wyzwanie, będę twym sekundantem; lecz cóż ojciec twej narzeczonej na to?

— Zdaje się, że nie wie o niczem.

— A ona?

— Ha! ona przecież uderzyć go w twarz nie mogła, ale nie mówmy już o tem. Dziękuję ci, przyjacielu, za twą uczynność dla mnie i pojmiesz zapewne, że ten pojedynek nader poważnie traktować zamierzam. Chciałbym się nietylko z uczynionych mi zarzutów oczyścić, lecz przede wszystkiem ukarać Holsteina i dla tego pragnę się strzelać na trzy kroki.

— Pojmuję twój gniew i rozdrażnienie, lecz czy zastanowiłeś się nad niebezpieczeństwem, jakie stąd dla ciebie wyniknąć może?

— Prawdopodobnie śmierć mnie czeka — odparł Roberts z nienaturalnym spokojem. Pomimo to zastosuj się ściśle do mego życzenia, jeżeli chcesz mi wyświadczyć przysługę. Wszakże dziś jeszcze zaniesiesz Holsteinowi wyzwanie?

— Ma się rozumieć, a teraz, Stefanie, w imię naszej przyjaźni pytam cię, czy zazdrość u ciebie gra w tem jaką rolę?

Młody prawnik pobladł śmiertelnie i zadrżał lekko, usiłując ukryć pomieszanie.

— Nie rozumiem cię — szepnął, spuszczając oczy. — Czy podejrzywasz moję narzeczoną, że mogłaby tego nędznika pokochać pomimo jego chytrych oczu i szyderczego wyrazu bezmyślnej twarzy? A może sądzisz, że jego wykształcenie i zdolności, o których ja, mówiąc między nami, powątpiewam, ją zajęły? Doprawdy nie pojmuję podobnego zapytania. Holstein kręci się około mej narzeczonej, jak motyl około świecy, lecz nic mnie to nie obchodzi, a ona,

moja śliczna ukochana Berta?... Henryku, jak mogłeś stawić tak nierozsądne pytanie.

Paulson milczał, lecz widocznem było, że chciał jeszcze coś powiedzieć.

— Jesteśmy przyjaciołmi — odparł nareszcie — więc otwartość powinna być między nami. Nie pytałbym cię nigdy w życiu o coś podobnego, gdyby nie ta okoliczność, że powtarzano mi już kilkakrotnie, jakoby przyszły twój teść szczególniejszemi względami Holsteina zaszczycał, że nawet narzeczona twoja...

— Moja narzeczona! — wykrzyknął Roberts, ściskając konwulsyjnie ramię Paulsona. — Ktożby śmiał cośkolwiek jej zarzucić! A więc już całe miasto mówi o tem, w co ja tylko dotąd wierzyć nie chciałem, ale oni kłamią wszyscy. Henryku! ludzie są tak zazdrośni, chcieliby mi wydrzeć nad życie ukochaną istotę, a wraz z nią i nadzieję otrzymania kiedyś ogromnego majątku jej ojca! Znasz ich przecież i wiesz, że zarzucają mi, że tylko dla majątku z Bertą się żenię, a tyś świadkiem, przyjacielu, że pokochałem ją nieświadomy nawet jej nazwiska i stosunków. Och! jakże pragnąłbym, aby była biedną, a ojciec jej prostym wyrobnikiem! Ale wracajmy do przedmiotu — więc dziś jeszcze pójdziesz do Holsteina? Miej się wobec tego człowieka na baczności; starać się będzie ze zręcznością żmii z całej tej sprawy wywinąć, obałamuci cię, więc bądź stanowczym i nie daj się jego uniżonością i pochlebstwem ugłaskać. Dziś wieczorem przyjdę znów do ciebie, a teraz: do widzenia!

I zanim Paulson zdołał temu przeszkodzić, wybiegł spiesznie z pokoju.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

GIECZ
i jego pamiątki.

(Dokończenie.)

Na polu chłapowskiem są również szańce znacznie mniejszych, niż w Grodziszczku, rozmiarów, usypane prawdopodobnie przez Szwedów. Zbudowane są w ten sposób, iż wykopywana w okrąg ziemia, zsypywaną została do środka, przez co powstało wywyższenie, przedstawiające się na kształt mogiły poległych i za taką uważane przez lud miejscowy. Był tam prawdopodobnie obóz dowódzcy, okopany rowem, lub wywyższenie do ustawiania armat. Rząd pruski wziął tę wyniosłość za jeden ze swych punktów strategicznych, czego dowodem wbity w ziemię kamień, oznaczony literami T. P. Podanie ludowe opowiada, że na polach chłapowskich znajduje się w ziemi mogiła, kryjąca zwłoki poległych, lecz ślady tejże są nieznane. Nie wiadomo zresztą, z jakich czasów i wojen ma pochodzić ten ogromny grobowiec.

W przeciwnej stronie Giecza, o 2 kilom. drogi, znajduje się malownicze wzniesienie, nazywane Górznem. U stóp wzgórza stoi w cieniu świerków wysoki z prostego pnia sosnowego wzniesiony krzyż z przybitym doń Chrystusem. Od krzyża tego prowadzi wązka drożyna na szczyt wzgórza. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że tu, a nie gdzieindziej stał zamek, zamieszkały przez Przemysława. Ogromna, wprawiająca w zdumienie ilość kamieni, rozrzuconych po polu, obala twierdzenie, jakoby tam stał jedynie mały zameczek myśliwski; zresztą prawie wszystkie budynki w Dzierzchnicy i wiele budynków w Podstolicach i Targowej-Górce mają fundamenta wzniesione z ogromnych kamieni, wydobytych tamże. Szczyt Górzna porosły był lasem dębowym; dziś stoi tam jedyny dąb, staruszek, widniejący w odległości kilku kilometrów drogi; dostrzegać się również daje ślad dębu, mającego trzy metry obwodu, zwalonego, jak ślady pokazują, ogniem ponieważ w wypruchniałym pniu jego pasterze zakładali sobie ogniska dla ugotowania strawy. Z pniów, w ziemi leżących, wyrasta masa karłowatych dąbków, lecz najgęściej zarośnięty jest szczyt leszczyną, topolami i innego rodzaju drzewami. Rozrosłe głogi i jeżyny tamują chód, czepiają się ubrania, lecz dodają dzikiego i tajemniczego wdzięku smętnemu temu uroczysku.

W kilku miejscach głębsze otwory w ziemi ukazują nam ślady fundamentów, czy też murów z nieforemnych kamieni, spajanych wapnem dziwnej mocy i białości, tak, iż lud mniema, że to jest gips, nie wapno Wszędzie walają się ogromnej wielkości kamienie. Przed siedmdziesięciu laty były tu podobno szczątki wielkiej szerokości schodów z drzwiami, prowadzącemi do podziemi. Istnieje podanie, że w sklepach tych było jeszcze wino, i że pasterz pewien, odkrywszy wchód, codziennie się niem upijał, dopóki nie wyśledzono przyczyny. Lecz to samo podanie przywiązane jest do okopów w Grodziszczku, które podobno również w sobie mieściły piwnice. Niektórzy twierdzą, iż zamek stał na okopach, za przykład stawiając pokrewieństwo nazwisk: G r o d z i s z c z k o i g r ó d. Kto jednakże zwiedzi Górzno, ujrzy szczątki zwalisk zamczyska, pola literalnie zawalone kamieniami przeróżnej wielkości i kształtu, ten ma jasny dowód przed oczyma. Podług podania ludu ma być tutaj pochowaną piękna, nieszczęśliwa Ludgarda. Wieśniak tamtejszy żegna się krzyżem, przechodząc około tego miejsca, a żaden śmiałek nie przepędziłby tam nocy. Starcy utrzymują, że wśród cichej nocy słychać tam dźwięk dzwonów, zgrzyt wrzeciądzy, szczęk broni i tentent koni. Postać Ludgardy w długiem, białem odzieniu pokazuje się wśród księżycowej nocy i goniąc zbłąkanych podróżnych, prosi, by odebrano od niej klucze od podziemi.

Podanie opowiada, że raz, spotkawszy dwoje ludzi, podała im w dłonie długie swoje, jak len jasne włosy, przykazując trzymać je mocno, a pokaże im skarby ogromne. Gdy jeden z nich puścił wśród drogi zwój jasnych włosów, skonał natychmiast. Drugi, drżący od strachu, szedł dalej, lecz gdy oczom jego ukazały się drzwi, prowadzące do pieczary i usłyszał w zamku złowieszczy brzęk kluczy, których pęk nosi zawsze Ludgarda, ogarnął go lęk straszliwy i wypadły mu także z rąk długie włosy księżnej. I ten skonał na miejscu. Dotychczas dwie wyniosłości na wzgórzu podają za mogiły nieszczęśliwych. Raz znalazł się podobno śmiałek, co, zabrawszy ze sobą święconą wodę i kredę, poszedł o zmroku — pomimo przestrzegań towarzyszy — aby tam przepędzić noc całą. Położył się na ziemi, zakreśliwszy wprzód około siebie duży okrąg święconą kredą. O północy budzi go tentent ogromny, zrywa się ze snu, słyszy trąby bojowej głos, na który zewsząd zbiegają się konno zbroją okryci rycerze. Śmiałkowi włosy stają dębem na głowie, słyszy bicie własnego serca, a ziemia pod nogami jego huczy, grzmi, słychać hasła, okrzyki i pobudkę do boju. Naraz rycerstwo skupia się wokoło niego, naciera, grożąc stratowaniem, lecz nie może przejść przez znak nakreślony trzechkrólową kredą. Oblężony odzyskuje przytomność, chwyta święconą wodę i modląc się wśród trwogi, skrapia nią bliżej stojących rycerzy. Nagle nowe rozlegają się hasła, zbroją okryte postacie rozbiegają się na wszystkie strony, ginąc zupełnie dla oka. Odważny człowiek, wróciwszy do domu, opowiadał to we wsi, lecz żadne namowy nie zdołały go nakłonić do powtórzenia próby

Dziwne zaprawdę uczucia ogarniają duszę na tem pełnem tajemnic wzgórzu. Myśl mimowoli biegnie w dawno ubiegłą przeszłość, stawia przed oczy fantastyczne obrazy, pełne poezyi i marzeń. Gdzież ci rycerze, napełniający za-

mek ten wrzawą wojenną?... gdzie dłonie, co spajały te mury, serca, co biły w nich miłością, lub dyszały nienawiścią — ludy, uprowadzone w niewolę? Dziś pozostała tutaj część gruzów pod ziemią, a tam — na ziemi Czecha — miasto Giezen, zamieszkałe przez potomków pobranych w niewolę Gieczan.

Nie ma na tem dzikiem wzgórzu nic, coby ukołysało ducha do marzeń słodkich Przeciwnie, duch się wyrywa, chciałby rozedrzeć wiekowe osłony, kryjące przeszłość, chciałby wywołać rycerstwo z pod ziemi, lub jasną postać Ludgardy, choćby mu przyszło swe ciało w cieniu dębu pod trzecią ukryć mogiłą. Lecz próżne te wysiłki. Co raz ubiegło, nie powraca nigdy, a marzyciel rojenia swoje sam w własnej musi dośpiewać piersi.

Ze szczytu wzgórza cudny roztacza się widok na okolicę, niegdyś ogromnemi porosłą lasami, z których, po wycięciu, z korzeni drzew nowe powyrastały drzewa, wyglądające nakształt młodego lasu. Kilkowiekowe dęby sprzedano do Francyi na budowę okrętów, a dziś wieśniaczka, wsypując do potrawy pieprz, lub cynamon, nie pomyśli nawet, że przybył on na drzewie z jej rodzinnej wioski. Należy jeszcze nadmienić, że w poblizkim lesie, należącym do wsi Rusiborza, spotkać można często starosłowiańskie urny.

Przy zbieraniu potrzebnego materyału do powyższej pracy udzielili mi łaskawie pomocy: ks. proboszcz Sulkowski w Gieczu, tamtejszy nauczyciel, p. Drosel, i ks. proboszcz Jentsch z Grodziszczka, co zaznaczając, mam sobie za obowiązek szanownym tym panom wyrazić na tem miejscu swą szczerą wdzięczność i podziękowanie.

Helena Neyman.

Zapiski, szkice i typy galicyjskie.

(Ciąg dalszy.)

Szkic I.

„Szkapką, czapką i solą
ludzie ludzi niewolą“

— No, proszę ja kogo! — woła w najwyższem rozdrażnieniu pan Leon, kładąc gazetę na stolik, i szybko po pokoju chodzić zaczyna. — Oto co dzienniki! oto co służalcza prasa!... To pani Amelia teraz tryumfować będzie.

— Cóż się stało? — pyta wylękłym, cichym głosem małżonka p Leona, koścista, wysoka kobieta, szare, wypełzłe oczy zwracając na męża.

Ten staje przed nią i gestykulując żywo, mówi szybkim, nerwowym głosem:

— Przemowę Józia wydrukowali!... z najpochlebniejszemi zdaniami!... Pytam ja ciebie, co oni w niej widzą? Ten ignorant gada długo i szeroko; na zjazdach gospodarczych chce nas uczyć rozumu, i nie dosyć, że tu u nas chce imponować, ale jeszcze i w dziennikach nad nim się rozpływają! Piękny mi gospodarz — tragicznie oczy ku sufitowi wznosząc, ciągnie pan Leon — cóż u niego za urodzaje? jak ziemię uprawia? wypędziłbym mego ekonoma na cztery wiatry za takie gospodarstwo! A ten plecie na zjazdach i mowy jego dru-ku-ją!... No, to teraz pani Amelia urośnie, toż to będzie pyszna ze swego Józia!...

— Proszę cię, nie irytuj się, mój Leonie — błaga pani Franciszka, błagalnie ręce składając.

— Nie irytuj się, nie irytuj! powtarza chudy z siwemi faworytami *gentleman*, i przebiegłszy parę razy mały, jadalny pokój, coraz więcej się cietrzewiąc, krzyczy nad uchem przerażonej kobiecie:

— „Nie irytuj się!“ łatwo mówić. Jakżeż mnie, obywatela, miłującego kraj, mnie, patryotę, mnie, posła do rady państwa, nie ma irytować czcza, bezduszna nieprodukcyjność idei, objawionych przez żonę mego krewnego i jej syna!

I zatrzymując się, z gestem oratorskim i patetyczną intonacyą głosu deklamuje pan Leon dalej:

— Albo jakżeż nie ma mnie oburzać służalczość naszej prasy? szeroko się rozpisuje o mowach tego młodzika, wynosi je pod niebiosa... a to wszystko dla czego?... bo jego wuj jest figurą wpływową w Wiedniu!... A pracę ludzi starszych, wytrawnych pomija milczeniem. Na przykład mowy mojej w kole polskiem nie wydrukowali, pomimo, iż, jak wszyscy mi to mówili, była n i e z w y k ł ą... I cóż można zdziałać w kraju, gdzie organy opinii publicznej służą tylko rządowi, palą kadzidła arystokratycznym biurokratom i ich kreaturom?...

Pan Leon kończy tyradę z lirycznem wzruszeniem, bo też przebrała się miara jego goryczy. Widzieć się wyprzedzonym w pozyskaniu rozgłosu przez młodego człowieka, krewnego swego, patrzeć na tryumf pani Amelii, dla której żywił niezwalczoną antypatyą, tego już było za wiele.

W tym wychudłym człowieku o wązkiej, przedłużonej twarzy, w tym pośle do rady państwa drgała najdraźliwsza struna serca: „a m b i c y a“ — obrazą i żalem do krewnej, która zawsze tak przebiegle umiała najbliższą swą rodzinę wywyższać, na pierwszy plan wysunąć, a jego grzecznie w cieniu pozostawić i... zapomnieć.

Pan Leon z wielce wymownem poruszeniem ramion odpowiadał dawniej na pochwały, oddawane „młodzikowi“, a teraz już wybuchnął oburzeniem na tę oczywistą „parcyalność“ prasy.

— A wiesz, Leonie, że hrabia Stanisław, wuj Józia, przyjechał do Zdorowa na dni parę? — przerywa milczenie pani Franciszka.

— Przyjechał? doprawdy?... a był już gdzie w okolicy? — pyta mąż z ożywieniem.

— Podobno odwiedził tylko marszałka — odpowiada pani tym samym, zawsze lękliwym i przyciszonym głosem.

— No, to dopiero będzie tryumfował ten parweniusz! Będzie mu się zdawało, że urósł sam, dzięki wyróżnieniu jego excelencyi. Jestem pewien, że pani Amelia chce od marszałka coś wyjednać, bo w przeciwnym razie, czemuby hrabiego do niego zawoziła?

— Zdaniem mojem, Leonie, Amelia zanadto nas zaniedbuje.. Przecież hrabia Stanisław to twój kolega i dawny znajomy...

— A czy ja dbam o niego? Wcale sobie tej łaski nie życzę. Myślałby jeszcze, że mnie uszczęśliwi swoją bytnością. Choć swoją drogą nie świadczy to dobrze o jego charakterze, żeby tak zapominać o z w i ą z k a c h m ł o d o ś c i. Jabym tego nie potrafił — wznosząc oczy do góry, z westchnieniem mówi pan Leon. — Właśnie im wyżej się wstępuje, tem więcej powinno się pamiętać o dawnych znajomych. Ale hrabia Stanisław odkąd, dzięki silnym protekcyom, zajął miejsce w ministeryum, ignoruje mnie. Być tyle razy w Zdorowie i ani razu mnie nie odwiedzić! — jest to bardzo dziwne! A pani Amelia pyszni się zawsze swoim bratem, wynosi pod niebiosa jego takt, jego rozum i prawie na równi z swym synem go wielbi. Jest co wielbić doprawdy!...

I pan Leon ciężko wzdycha, bierze dziennik i, usiadłszy w fotelu, dalej czyta „organ służalczej opinii.“

— Koniecznie musisz, Stasiu, być u Leonów: on bardzo mi jest potrzebny dla poparcia procesu z koleją w Wiedniu. Przez swoję żonę ma wstęp do różnych znaczniejszych figur — mówi, zapinając rękawiczki, drobna, siwa kobieta do siedzącego przy kominku łysego, niemłodego, z poważną twarzą mężczyzny.

— *Ma chere*, za dużo mi jeździć każesz — odpowiada przeciągle hrabia Stanisław.

— Dosyć sobie w Wiedniu odpoczniesz! a teraz idź, proszę, zabierz się... kareta czeka.

— Jesteś despotką — mówi powoli zawsze jego excelencya, ale wstaje, strzepuje systematycznie popiół z cygara i za chwilkę wychodzi ze swego pokoju gotów do wyjazdu.

— Pamiętaj, Stasiu, wymawiać Leonowi, że zapomniał o koledze z Theresianum i nie odwiedził cię w Wiedniu.

— Kiedyż ode mnie należała mu się od dawna wizyta tu na wsi — zauważa minister, wychodząc z siostrą pod ganek.

— *Cela ne fait rien;* właśnie tym sposobem nie dopuścisz go do robienia ci wymówek. Bądź przytem grzecznym, serdecznym, ale zawsze z góry, a będę go miała w kieszeni.

— *Soyez tranquille*, skaptuję ci go zupełnie. Czy mam co wspomnieć o twoim interesie? — pyta dalej siostrę, wsiadając za nią do karety.

— Broń, Boże! — żywo odpowiada pani Amelia — zarazby wyszedł na jaw powód naszej grzeczności i tylko deklamowałby na „utylitarną politykę pani Amelii“, zamiast mi przyjść z pomocą. Kiedyś w Wiedniu, gdy ci odda rewizytę, napomkniesz mu o moich interesach, zapytasz, czyby ci drogi do tej, lub owej figury nie mógł wskazać. Będziesz się rozwodził nad wpływem, jaki ma wszędzie, a chyba Leona nie znam, jeśli ci sam pomocy swojej nie ofiaruje.

— *Très-bien* — odpowiada hrabia, i wychylając się przez okno, pyta nagle: — Czy te pola jeszcze wasze?

— Tak, to zdorowskie.

— Nie jestem gospodarzem, ale wydaje mi się, że Józio wcale nie ma dobrych urodzai. Bardzo licho wydają mi się te pola uprawne — dodaje excelencya zawsze równie powolnym i spokojnym głosem.

— Gdzież Józio ma czas na to? Zamiast zakopywać się na wsi, musi przecież jeździć dla zwiedzania różnych gospodarstw; przytem mowy jego dużo mu czasu zajmują — broni żywo jedynaka matka.

— Aa!... bardzo dużo jeździ, to prawda. Czytałaś mi niegdyś sprawozdanie z jego przemówień. Chwalą je podobno.

— O! Józio musi zajść wysoko — mówi z dumą pani Amelia. — Czynię wszystko, by rozgłos dla niego uzyskać. Ty sam, nie wiedząc o tem, dużo mi pomagasz przez urzędowanie swoje w ministerstwie.

— Tak, ludzie są tak wrażliwi na wysoki urząd i na tytuł — odpowiada z filozoficznym spokojem hrabia Stanisław, i cisza zalega karetę.

Po niedługim czasie wjeżdżają na starannie utrzymany dziedziniec domu państwa Leonów, a pani Amelia daje bratu ostatnie napomnienie:

— Proszę cię tylko, bądź protekcyonalnie grzecznym i serdecznym, a chwal mowy pana Leona w kole polskiem; to jego słaba strona.

(Ciąg dalszy nastąpi)

Wpływ drzew na stosunki sanitarne.

Od dawnych czasów meteorologowie starają się zbadać, jaki wpływ mają lasy na deszcz. Lecz dotąd mało kto zajmował się badaniem, jaki wpływ drzewa wywierają na stosunki miejscowe klimatyczne i na nasze mieszkania pod względem sanitarnym, chociaż okoliczność ta nie jest bynajmniej małego znaczenia. Można często widzieć domy mieszkalne na wsi i na przedmieściach pogrzebane niejako wśród zieleni drzew, rosnących tuż przy oknach i zasłaniających słońce. Okoliczność ta w wysokim stopniu szkodliwą jest dla zdrowia mieszkańców.

Drzewa wszystkich gatunków oddziaływają chłodząco i wilgotnie na atmosferę i grunt ziemi, na której rosną. Działalność ta zależy wiele od ilości drzew i czy one rosną pojedyńczo, lub w grupach, czy są wysokie, lub nizkie; zależy od ich gatunku: czy są liściaste, lub iglaste i w końcu od pory roku. Wilgoć i oziębienie, jakie drzewa sprowadzają, pochodzą głównie z parowania wody z liści, którą ściągają z korzeni, głęboko w ziemi rosnących. Prócz tego drzewa mają moc zatrzymywania w sobie znacznej części wody, pochodzącej z deszczu, co bardzo utrudnia parowanie wody, znajdującej się w ziemi pod drzewami. Badania w tym względzie wykazały, że drzewa liściaste zatrzymują w sobie $1/3$, iglaste zaś $1/2$ części z tego deszczu, jaki spada na nie, który potem wydziela się powietrzu przez parowanie.

Parowanie wody z drzew l i ś c i a s t y c h w lecie odbywa się stosunkowo cztery razy powolniej, z i g l a s t y c h zaś dwa razy, niż z drzew, rosnących na otwartem polu. Nadto większa, lub mniejsza ilość znajdujących się drzew w danej miejscowości ma wielki wpływ na cyrkulacyą wolnego powietrza. Z tego to powodu miejsca, wyglądające na pozor wspaniale, zamknięte i zarosłe wielką ilością drzew, są zwyczajnie wilgotne, zimne, mgliste z atmosferą spokojną, bez wiatru, co wywiera szkodliwy wpływ na zdrowie ludzkie i szczególniej przyczynia się do chorób reumatycznych, piersiowych i suchot. Wiele domów stoi tuż pod drzewami, z których na dach woda spływa, a wokoło niego rosną całe masy rozmaitych krzewów, które miejscowość czynią prawdziwym zbiornikiem wilgoci i pozbawiają ją świeżego powietrza.

Drzewa przy domu powinny być sadzone przynajmniej w takiej odległości, jak są wysokie. Najlepiej jest sadzić rzędy drzew po stronie północno-wschodniej domu; od wschodu powinno się drzewa jeszcze w większej sadzić odległości i wybierać tylko tak wysokie, aby cień ich nie zasłaniał porannego słońca. Na południe i zachód zalecamy tylko pojedyńcze i niewysoko rosnące drzewa, aby promienie słoneczne przez cały dzień na dom padały.

Jeżeli kto chce sadzić drzewa w blizkości domu, powinien wybierać następujące gatunki. Przede wszystkiem najlepsze są drzewa iglaste; dalej: brzoza, buk, dąb, lipa, klon, topol i jesion. Sosnowe drzewa są najlepsze ze wszystkich, ponieważ rosną wysmukło, nie mają wielkich gałęzi rozłożystych, zatrzymują w sobie najwięcej wody po deszczu i mniej przeszkadzają krążeniu wolnego powietrza, niż inne rozłożyste drzewa.

Dąb i brzoza późno się rozwijają, ale też liście najpóźniej z nich opada. Klon, lipa i kasztany najgorsze są do tego użytku, chociaż powszechnie teraz znajdują się przy domach, jako najrychlej się rozwijające; one też najwcześniej liście tracą.

Miejscowa wegetacya daje często wskazówkę pożyteczną, gdzie się powinno wybierać miejsce na dom mieszkalny. Miejsce, gdzie rośnie wiele drzew, bujnych krzewów i roślin, odznacza się zazwyczaj wilgotną i niezdrową atmosferą; przeciwnie tam, gdzie rośnie wiele kwiatów polnych, jest klimat suchy i zdrowy.

Dzieci zdrowiej się chowają tam, gdzie ziemia najwięcej kwiatów wydaje; starzy zaś ludzie w miejscu, gdzie owoce najlepiej dojrzewają; jest to najlepszy znak, że miejscowość jest zdrową i dla chorób piersiowych i reumatycznych niedostępną. Sosna i jej towarzyszka brzoza oznaczają, że miejscowość, na której stoją, jest sucha, kamienista i piaskowa. Buk rośnie na suchym, wapiennym, lub piaszczystym gruncie; klon i lipa rosną na silnej i dosyć wilgotnej ziemi; dąb i jesion na ciężkiej, gliniastej roli; topol zaś

i wierzba na nizkim, wilgotnym, lub bagnistym gruncie. Wiele z wymienionych drzew rośnie częstokroć wspólnie na jednem miejscu; a wtedy najbujniejsze z nich i niejako wśród innych panujące charakteryzują gatunek ziemi i atmosferę.

Mazur.

Wiadomości literackie, artystyczne i rozmaitości.

W Warszawie wyszedł pierwszy zeszyt „Przewodnika po cmentarzu Powązkowskim," który ma obejmować życiorysy wszystkich zasłużonych, a na cmentarzu tym od r. 1794 spoczywających mężów, oraz krótkie opisy ich grobów. Redaktorem „Przewodnika" jest p. Wł. K. Zieliński, któremu potrzebnych materyałów do tego wydawnictwa dostarcza archiwum cmentarne. Dzieło zdobić będą ilustracye piękniejszych nagrobków, pomników i widoków cmentarza.

„Gawędy ogrodnicze," skreślił Gwiaździc. Część I, wydanie drugie; część II, wydanie pierwsze (Warszawa 1889 r.) Jest to dobry i użyteczny podręcznik dla ludu z dziedziny ogrodownictwa w formie powiastek. Łatwo zeń pojąć, co jest szkółka, jak należy sadzić i uszlachetniać drzewa, uprawiać winograd i t. d. Cena książeczki wynosi 6 kop.

Królowa rumuńska, znana, jako autorka, pod pseudoninem Silvy Carmen, napisała w ostatnim czasie powieść p. t. „Ktoś puka." Powieść ta została już przetłomaczoną na język włoski i wywołuje pochwały krytyków.

Dzieła Romana Zmorskiego, mianowicie jego poezye, rozrzucone po rozmaitych czasopismach, zamierza wydać warszawska „Kasa pomocy naukowej imienia Mianowskiego."

Ukazała się na pułkach księgarskich: „Łatwa metoda gruntownego nauczenia się w krótkim czasie języka angielskiego z pomocą, lub bez pomocy nauczyciela", ułożona i wydana przez H. Bergera.

Jan Topolnicki wydał w Lipsku: „Mapę historyczną" Polski w granicach z r. 1772 i dawniejszych; z podziałem historycznym na prowincye, województwa i ziemie, ze wskazaniem miejscowości pamiętnych w dziejach naszych. Przestawia także pola wielkich bitew, sicze zaporozkie i szlaki tatarskie. Pisma niemieckie oddają tej mapie zasłużone pochwały.

„Echo muzyczne" donosi, że pani Adolfina Zimajerowa, niegdyś główna przynęta operetki warszawskiej, potem przez 4 lata w niemieckich teatrach, w ostatnim zaś czasie w galicyjskich występująca, przybyła znów do Warszawy i wystąpiła poraz pierwszy 19 sierpnia na scenie „Teatru nowego" w operetce Lecoqa: „Serce i ręka." Echo dodaje, że pani Zimajerowa wykształciła i zaokrągliła swój niewielki głos, iż stracił dawną ostrość, wydoskonaliła również grę przez dodanie jej koniecznego uczucia.

Warszawa oczekuje w przyszłym, wiosennym sezonie Jana Reszke, który honorarya za występy w stolicy swej ojczyzny przeznacza na cele dobroczynne. Artysta ma wystąpić w „Romeo i Julii," „Fauście" i „Proroku."

Miasto Tomsk nazwano: „syberyjskie Ateny", nietylko bowiem posiada w ostatnim czasie otworzony uniwersytet, ale teatr, zbudowany przed dwoma laty przez miejscowego bogacza Korolewa, murowany, o strukturze pięknej, dosyć obszerny i czynny przez sezon zimowy. Właściciel teatru jest zarazem przedsiębiorcą, a ogromny jego majątok pozwala mu tracić corocznie na podobną zabawkę kilka tysięcy rubli, publiczność bowiem miejscowa, za mało wykształcona i nienawykła do podobnego rodzaju rozrywek, nie popiera dostatecznie usiłowań p. Korolewa, pragnącego w niej rozbudzić zamiłowanie do sztuki dramatycznej. Utworzyło się też w stolicy ziemi wygnania „Towarzystwo muzyczne," które swą działalność w ciągu bieżącego roku zaznaczyło przez urządzenie czterech koncertów; na ostatnim odśpiewano nawet 4ty akt „Trubadura." Nadto dano tu dwa koncerta na cele dobroczynne: na kościół katolicki i na rzecz ubogich studentów uniwersytetu.

W Paryżu, na przedmieściu Auteuil, nad brzegiem Sekwany, wpośród wspaniałego angielskiego parku wznosi się piękna willa w kształcie pałacu, na którym jaśnieje napis: *Fondation Rossini.* Jest to schronienie dla śpiewaczek i śpiewaków, którzy w czasie swego artystycznego zawodu nie zebrali tyle zasobów pieniężnych, aby ostatnie dni swego żywota przebyć bez troski o chleb powszedni. Nieśmiertelny twórca „Wilhelma Tella", „Cyrulika sewilskiego" i t. d., którego za życia posądzano nieraz o egoizm i skępstwo, pozostawił przeszło 3 milionowy legat, jako wspaniałą pamiątkę dla ubogich braci i sióstr po duchu. W mowie będąca instytucya została otworzona dopiero w ciągu obecnej wystawy w pierwszych dniach lipca r. b. — Aby się dostać do „Przytułku Rossiniego" trzeba nasamprzód być Francuzem, lub Włochem, posiadać ustaloną w przeszłości sławę artystyczną i . . . 60 lat wieku. Instytucya przyjmuje 50 osób obojga płci, z których każda jednostka otrzymuje kilka pokoi niezbytkownie, lecz przyzwoicie urządzonych i całe wygodne utrzymanie do śmierci. Zakład obejmuje wspólną dla użytku swych mieszkańców czytelnię, salę jadalną, salon muzyczny i pokój do palenia — nie zapomniano zatem nawet o przyjemnościach towarzyskich dla odpoczywających po trudach artystycznej pielgrzymki wędrowcach.

Pewne czasopismo donosi, że w Galicyi pod Tarnowem, w Porębie Radlnej, pastuszka, Maryanna Kozikówna, w extazie religijnej sama sobie przysposobiła stos, podpaliła go i spłonęła na nim.

Urządzają w Ciechocinku zakład leczniczy dla niezamożnych osób, niechcących z różnych względów leczyć się w szpitalu. Fundusze nie pozwalają na urządzenie od razu tego pożytecznego zakładu w całości, ma być zatem zbudowany tymczasem jeden pawilon, którego koszta obliczono na 5000 rs.

Królowa hiszpańska odbyła napowietrzną podróż balonem, który wzniosł się do wysokości 300 metrów.

W Anglii znajduje się 73 kobiet, które uzyskały dyplon i zajmują się praktyką lekarską. Z tych 22 mieszka w Londynie. Najwięcej wziętości i sławy pozyskały panie: Scharlieb i Gardett-Anderson, która, uzyskawszy stopień „doktora" w Paryżu, założyła w stolicy swej ojczyzny na wielką skalę szpital dziecięcy, w którym wyłącznie zajęte są kobiety.

Kongres oryentalistów ma się odbyć w Sztokholmie. Dla uczestników zjazdu sposobią świetne przyjęcie i wielką ucztę, na której większość toastów zostanie wypowiedzianą w językach wschodnich, a spis potraw podany we wszystkich oryentalnych językach. Z Polaków — o ile wiadomo — wybiera się dotychczas dr. Jan Karłowicz, Warszawianin, redaktor „Wisły".

Nad Donem, na stacyi żelaznej Oleń, spadł grad w kształcie krzyża. Włościanie tamtejsi z zabobonnem przerażeniem obserwowali nadzwyczajne to zjawisko.

Promyki.

(Z pism Carmen Sylwy).

Łatwem jest życie temu, kto się zaprze sam siebie.

Morze jest wielkie, wspaniałe, niezmierzone. Pochwyć je ręką, a ujrzysz tylko nikłe krople wody.

Jeżeli boleść ciśnie twe serce, wtedy szukaj pociechy w nieśmiertelnych sprawach, w myślach i naturze.

Skromność nie zawsze jest skromnością, niekiedy bywa płaszczem, który zakrywa pychę.

Matka podobna jest Bogu; w nieszczęściu wzdychamy do niej, a zapominamy w radości.

Miłość żąda, przyjaźń daje.

Łzy, gaszące miłość, żywią przyjaźń.

Najwieczniejszą w wieczn ści jest miłość.

Miłość jest najcięższym ze wszystkich łańcuchem.

Łatwo obryzgać bliźniego błotem, trudno, a czasem nie podobno z błota go oczyścić.

Przyjaźń, która się tylko zasadza na wdzięczności, jest podobna do fotografii, która z czasem traci żywą barwę.

HUMORYSTYCZNE.

Mała różnica. W hotelu. Gość: — Ależ ja prosiłem o pieczeń wołową, a nie cielęcą.
Kelner: — Zapewniam pana, że to było bardzo stare cielę.

Ogłoszenia XX wieku:

Młoda, piękna, wykształcona panna, pragnąc podzielić swój szczupły, lecz pewny dochód z istotą płci brzydkiej, poszukuje reflektanta do stanu małżeńskiego. Oferty przyjmuje kasyer na przystanku balonów miejskich.

Kobieta w sile wieku poszukuje stosownego zajęcia: woźnicy kominiarza, konduktora i t p. Zna także roboty ciesielskie i kowalskie.

Mężczyzna, kawaler, dobrego prowadzenia, poszukuje miejsca za piastuna małych dzieci. Umie także robić pończochy.

LISTKI.

Panu X. Y. Z. — Artykuł Sz. Pana, dający tak czarnemi nawiedziony barwami obraz teraźniejszego wychowania dzieci i młodzieży, nie może być przez nas w całości zamieszczonym. Użyjemy zeń w przyszłości pojedyńczych ustępów i przykładów, z których smutnym istotnie jest ostatni o malcu, kształconym i rozwijanym na „Pokrace“, bawiącym starsze towarzystwo — ku uciesze zacnej „mamusi“ — opowiadaniem z niej skandali i wymienianiem zohydzanych tamże osobistości. Uwaga Sz. Pana, iż z takich malców wyrosnąć jedynie mogą „moralne i umysłowe pokraki“, jest słuszną — lecz pocieszajmy się nadzieją, że podobny sposób wychowywania i rozwijania dzieci nie jest normą, ale smutnym wyjątkiem w naszem społeczeństwie. Niezawodnie, iż „mamusia“ sumienniejby postępowała, gdyby raczej swoję „pociechę“ nauczyła poprawnie pacierza i abecadła, elementarnych wiadomości z dziejów ojczystych, a nade wszystko... miłości bliźniego! — Na ostatnią uwagę listu Sz. Pana odpowiadamy, iż „Pokraki“ nie znamy wcale i znać jej nie pragniemy.

Pani T. Zielińskiej w Lublińcu: — Podług życzenia posłaliśmy Łaskawej Pani numer 12 pierwszego rocznika „Domu polskiego“. Przepraszamy, że exemplarz nieco uszkodzony, lecz był to ostatni, jaki posiadaliśmy w zapasie. Odtąd służyć możemy tylko całym pierwszym zbroszurowanym rocznikiem, które odstępujemy za połowę ceny czyli za 4 m., a na życzenie nawet za 3 m.

Redaktorka Teofila Radońska w Poznaniu. — Czcionkami i nakładem drukarni Dziennika poznańskiego.